

Płocka premiera koncertu Zuzanny Niedzielak – „Kompozytor-rezydent” animuje lokalne ośrodki kultury

Prestiżowy program Instytutu Muzyki i Tańca „Kompozytor-rezydent” przechodzi okres, w którym środowisko muzyczne przygląda się drodze jego rozwoju. Koncert na Klarinet, Harfę i Orkiestrę Zuzanny Niedzielak budzi nie tylko doznania natury estetycznej, lecz także wiele pytań związanych z samym programem rezydentury.

Zapowiadając premierowe wykonanie konferansjer zaznaczył, że jesteśmy świadkami narodzin historii. Można powiedzieć, że historia ta zdarzyła się nie tylko na gruncie oficjalnym, ale także osobistym, co wielokrotnie podkreślano zarówno podczas koncertu, jak i w relacjach w lokalnej prasie. Powstaniu kompozycji towarzyszyły niemal od początku różnorodne anegdoty. Kiedy Zuzanna Fabijańczyk wyróżniona została w programie „Kompozytor-rezydent” planowała stworzyć utwór, w którym wystąpi wraz z przyjaciółką Dorotą Szyszkowską-Janiak, jako solistka. Jest bowiem przede wszystkim klarncistką pracującą w orkiestrach w Płocku i w Łodzi. W międzyczasie Zuzanna Fabijańczyk została jednak Zuzanną Niedzielak, a plany wykonania koncertu skomplikowało zbliżające się nadejście na ten świat synka kompozytorki – Olgierda. W efekcie partię solowego klarnetu wykonała z dużym wdziękiem i zaangażowaniem inna przyjaciółka Pani Zuzanny – Anna Gut, klarncistka, absolwentka warszawskiej uczelni muzycznej.

Koncert Zuzanny Niedzielak miał specyficzną budowę. W skali makro była to kompozycja jednoczęściowa z wewnętrznym podziałem na części A-B-C-A1. W tym względzie można powiedzieć, że kompozycja była przemyślana i konsekwentna, a kolejne segmenty wyraźnie wyszczególnione i rozpoznawalne. Równie wyraziste były inspiracje i zamiłowania kompozytorki. W koncercie pobrzmiwały echa muzyki etnicznej, filmowej, a także crossoveru z posmakiem jazzu. Nad sceną unosił się duch muzyki amerykańskiej początku XX wieku. Narracja kompozycji nastrocza badaczowi wielu nieoczywistości. Kompozytorka jednocześnie dąży do scalenia przebiegu energetycznego utworu, lecz także prowokuje jego wewnętrzny rozpad i pewną nie do końca zrozumiałą niespójność materiałową. Tę jednak ponownie stara się łączyć w jedno poprzez konsekwentne przeprowadzanie najbardziej charakterystycznych motywów przez różnorodne grupy instrumentów orkiestry. Przyglądając się tej konstrukcji bliżej znajdziemy wyrazisty, klarowny puls, który trzyma w ryzach całość i nie pozwala słuchaczom pogubić się w różnorodności motywów i tematów, które zmieniają

się częstokroć zanim myśl muzyczna zostanie doprowadzona do końca. Być może jest to świadomy twórczy zamysł, może to jednak świadczyć również o niewielkim doświadczeniu w zakresie tworzenia większych form orkiestrowych. Narrację utworu rozrywają wejścia kolejnych myśli muzycznych, które wypierają się wzajemnie i zestawione są na zasadzie kolażu rodząc efekt zabawnej groteski. Słuchając tej kompozycji mamy wrażenie, jak gdyby złożona była z wielu nieprzystających do siebie elementów, jak kolorowe tłuczone szkło, które przemieszcza się w nieoczekiwanym kierunku, kiedy potrząśniemy naczyniem, do którego zostało wrzucone. Każda chwila, w której słuchaczowi zaczyna wydawać się, że oto napięcie zmierza do kulminacji, pryska niczym bańka mydlana, a kompozytorka porzuca poprzednią myśl, aby poświęcić się kolejnej. W tej uroczej na swój sposób zachłanności twórczej pojawia się jednak pytanie o konstrukcję i świadomą budowę dzieła w mikroskali, które (choć w większości zgodne z tradycją nauczania kompozycji) nie buduje jednocześnie wewnętrznie spójnej, koherentnej całości, stając się raczej festiwalem różnorodności. Być może jest to również znak czasów i efekt zainteresowań kompozytorki, która deklaruje fascynację sztuką audiowizualną i kulturą współczesną, prezentujących dziś głębokie, właściwie ideowe wewnętrzne rozczłonkowanie.

Orkiestracja utworu nawiązuje do brzmienia muzyki Gershwina, czy, jak już wspomniałam wcześniej, generalnie muzyki amerykańskiej początku XX wieku. Znajdziemy tu zatem elementy stylistyki jazzowej, w tym big-bandu, a także szerokie frazy budowane w instrumentach smyczkowych i pełne patosu, groteskowe kulminacje, w których nie brakuje nawet (sic!) uderzeń talerzy. Jednocześnie brzmienie nie jest pełne, nie udaje się uzyskać gęstego, nasyconego tutti orkiestry. Kompozytorka zdaje się podchodzić do tej materii z dużą dozą ostrożności, stosując się do zasad klasycznej instrumentacji, które jednak w tym wypadku nie pozwalają jej na odnalezienie własnego, charakterystycznego brzmienia. Wprawdzie tematy, rytmy, kontrapunkty pojawiają się na wielu płaszczyznach orkiestry. Przechodzą „grzecznie” przez kolejne instrumenty i ucho słuchacza wyłowić może ten przebieg z przyjemną początkowo łatwością, jednak klarowność ta rozczarowuje, na dłuższą metę stając się nużąca. W koncercie partie solistek wydają się traktowane marginalnie. Stanowią jednocześnie integralną część utworu. Można powiedzieć, że są to raczej partie koncertującego klarnetu i harfy, a nie solistyczne. Dzięki temu udaje się uzyskać spójność brzmienia i charakteru, ale brakuje nieco prezentacji wirtuozowskich możliwości solistów.

Zaprezentowany przez Zuzannę Niedzielak Koncert na Klarnet, Harfę i Orkiestrę budzi ambiwalentne odczucia. Z jednej strony wydaje się, że utwór pomyślany był jako orkiestrowy

fajerwerk, pełen różnorodności, z wyraźnym wpływem estetyki muzyki amerykańskiej pocz. XX wieku (filmowa, jazz, musical etc.), z drugiej – wiele elementów warsztatu kompozytorskiego niweczy ten zamysł. Czy była to kompozycja zgrabna, bezpretensjonalna i niezobowiązująca, czy może raczej przypominająca akademicką wprawkę, zostawiam Państwa ocenie. We mnie wzbudziła głównie uczucie abstrakcyjnej groteski, która miała swój urok – o ile takie było zamierzenie kompozytorki, ale budzi liczne wątpliwości, jeśli ten efekt miał być zgoła odmienny.

Maria Peryt